Jacek Brzezina

Hiszpańska beczka prochu

Wojna w Hiszpanii zwróciła całą uwagę europejską, podzieliła stary kontynent na dwa ideologiczne obozy, wywołała niezliczoną ilość interwencji, powołała do życia prawdziwy potop nikomu niepotrzebnych międzynarodowych komitetów, zbliżyła widmo ogólnej wojny o dobrych parę lat i jako poniekąd dalszy ciąg wojny abisyńskiej zakończyła ostatecznie kryzys światowy. O tyle też się przydała.

KOMUNIZM CONTRA FASZYZM

Na półwyspie pirenejskim po raz pierwszy wypróbowano nieznaną dotychczas w dziejach świata metodę walki. Dwie wrogie, choć jakże pod wieloma względami zbliżone, ideologie rozpoczęły walkę ze sobą, na terenie trzeciego, pośrednio tylko zainteresowanego w sporze państwa. Walka ta, co najdziwniejsze, jednak, najmniej godzi w biorące w niej udział strony. Raczej pomaga im, ostrze swoje zwracając, prócz państwa, na którego terenie się odbywa, w stronę dwóch mocarstw „demokratycznych" Francji i Anglii. Ani jedna, ani druga strona w konflikcie bezpośrednio i otwarcie nie zaangażowały się, a jednak ponoszą jego najcięższe skutki, Francja zbiera plon filosowieckiej polityki rządów Bluma, ale Anglia?

Komunizm, dążąc już od dłuższego czasu do objęcia swoimi czerwonymi skrzydłami Hiszpanii, miał zamiar sięgnąć stamtąd przez Pireneje do Francji, a więc zaatakować Europę od zachodu z równoczesnym zetknięciem się bezpośrednim z Afryką północną, czyli z tamtejszymi koloniami francuskimi, w których z tak bliskiej odległości zapalenie buntu nie byłoby rzeczą trudną.

Faszyzm, popierając wydatnie Hiszpanię generała Franco, piekł równocześnie na jednym ogniu dwa kartofle. Niedopuszczając do rozpanoszenia się Sowietów w Hiszpanii, zabezpieczał się przed groźnymi wpływami komunizmu i równocześnie, w myśl swoich imperialistycznych planów, zmierzał do zupełnego zamknięcia i opanowania morza Śródziemnego.

CIOS W ANGLIĘ

Ten właśnie cios najbardziej uderzał w Anglię, która przetrawiwszy z bólem aneksję Abisynii i zaszachowanie Egiptu, wszelkie dalsze zakusy na hegemonię na morzu Śródziemnym i na drogę do Indyj traktuje, jako wrogie kroki, mające na celu zlikwidowanie imperium brytyjskiego.

I Wielka Brytania znalazła się naprawdę w trudnym impasie. Pomagając rządowi walenckiemu, czyli Moskwie, musiałaby się zgodzić z tym, że po Hiszpanii przyjdzie kolej na Francję. Komunistyczna Francja nie byłaby już gwarantowanym przyjacielem Anglii, odwrotnie mogłaby się stać groźnym ideologicznym wrogiem. Pomagając rządowi narodowemu, Anglia wobec przewagi w nim wpływów włosko - niemieckich godziłaby się z góry na utratę Gibraltaru, a przez to samo panowania nad morzem Śródziemnym.

DYPLOMATYCZNE KŁÓTNIE

Sytuacja ciężka i godna zaprawdę dyplomacji angielskiej Wybrnąć z niej usiłowano połowicznie, nie biorąc niczyjej strony i dążąc z uporem do zlikwidowania zatargu lub conajmniej do sprowadzenia go do roli czysto wewnętrznej, słusznie zaznaczając, że gdyby nie interwencje Sowietów, Włoch i Niemiec, hiszpańska wojna domowa dawnoby się już skończyła i ani na chwilę nie zagroziłaby ogólno światowemu pokojowi. Powołano komitet nieinterwencji, wprowadzono kontrolę wybrzeży, nieomal błagano zainteresowane strony, by zaprzestały wysyłki „ochotników". Długo się to ciągnęło, długo musieli przekonywać dyplomaci angielscy, by wreszcie nikogo nie przekonać i do niczego konkretnego nie doprowadzić.

Jak zwykle jednak w takich wypadkach, po wyczerpaniu przez nikogo poważnie nie traktowanych dyskusji (gdy podczas obrad komitetów Sowiety się sprzeciwiały — Ribbentrop krzyczał, iż wprowadzają zamęt i nie chcą zgody. Gdy Majski zgadzał się, Ribbentrop robił zamieszanie i tak w kółko!), nastąpiło odprężenie.

Przyczyniły się do niego: zwycięstwa generała Franco, dobitnie przekonywujące, iż pomoc faszystowska okazała się skuteczniejsza, od sowieckiej oraz rozgorzała niespodziewanie na drugim kontynencie wojna japońsko - chińska.

W OBLICZU WSCHODNICH NIEBEZPIECZEŃSTW

Anglia, zagrożona na Dalekim Wschodzie, nie ryzykując prowadzenia bezowocnej dyplomatycznej gry na dwa fronty, postanowiła za wszelką cenę zlikwidować zatarg hiszpański, by móc się poświęcić w całości zagadnieniom chińskim oraz nagle wyłonionym kategorycznym żądaniom Niemiec o zwrot kolonii.

Uznano w Anglii, że należy wejść w porozumienie z generałem Franco i uratować choćby resztę wpływów brytyjskich przy wejściu do morza Śródziemnego.

Plan ten, być może zbyt późno wprowadzony w życie dał na razie dobre rezultaty, co należy bezwzględnie uważać za wielki sukces angielskiej dyplomacji. Niemcy i Włochy, zainteresowane w pakcie antykomunistycznym, widząc iż uwaga Sowietów przeskoczyła nagle z terenu Hiszpanii na daleko bliższe Moskwie tereny Dalekiego Wschodu, postanowiły zabrać się z powrotem do swoich wewnętrznych spraw, pozostawiając ostateczną rozgrywkę w Hiszpanii i tak już zwycięskiemu generałowi Franco.

Niemcy i Włochy, zagwarantowawszy sobie dominujące wpływy w przyszłej faszystowsko - narodowej Hiszpanii, uznały projekt angielski wycofania „ochotników" za słuszny; Sowiety, widząc przegraną i zagrożone przez Japonię od tyłu, czynią to samo co Anglia, korzystając z oficjalnego ustąpienia zainteresowanych w sporze mocarstw, natychmiast nawiązuje rokowania z rządem gen. Franco, by, jak już wyżej napisałem, choć w części uratować swoje interesy. „Lepiej późno, niż wcale!".

SPOKÓJ WRACA

Obecnie w Brukseli toczą się pod czujną opieką mocarstw rokowania między generałem Franco, a rządem czerwonej Hiszpanii. W tych warunkach należy uważać, że konflikt hiszpański zeszedł wreszcie z międzynarodowej areny, stał się tym, czym, powinien był być od początku — czysto wewnętrzną sprawą Hiszpanii. Jak będą się przedstawiać koncesje niemiecko - włoskie, udzielone przez gen. Franco wzamian za wybitną pomoc wojskowo - finansową, pokaże najbliższa przyszłość. Coś możnaby o nich powiedzieć, przypomniawszy sobie niedawną stosunkową historię z próbnym atakiem niemieckim na Tangier.

CZY BEZ POMOCY?

Rzecz pewna, że Anglia na tym wszystkim straci. Droga do Indyj, strzeżona dotychczas przez niezwalczoną flotę brytyjską stanie się bardziej, niż problematyczną. Przewaga na morzu Śródziemnym, która poczęła się chwiać w czasie wojny włosko - abisyńskiej, teraz w czasie pokoju jest już tylko nominalna. Jak będzie w czasie wojny? Czy flota brytyjska potrafi się przedrzeć przez potrójny łańcuch włoski? Nad rozbiciem pierwszego, najważniejszego, gibraltarskiego łańcucha pracować będzie teraz już w warunkach pokojowych Sir Hugdson, agent angielski przy rządzie gen. Franco. Być może, że powrót na tron hiszpański młodszego syna króla Alfonsa, mieszkającego stale w Anglii, wpłynie również na odprężenie sytuacji, tymbardziej, że odbudowująca się z gruzów Hiszpania będzie potrzebowała pieniędzy, których łatwiej dostarczy jej Anglia niż Włochy i Niemcy razem wzięte!

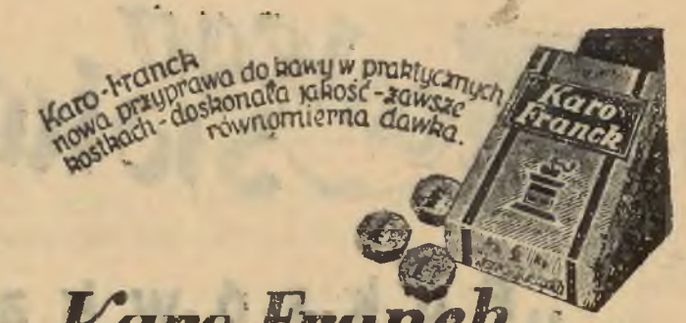

W. Szary

Ten pagórek

Niby nie wiem, co to komu ma szkodzić? Czy ten pagórek przedtym jakoś się nazywał? Czy czyjejś pamięci zrobiono krzywdę, nadając mu nazwę wojewody Kirtiklisa?

Wojewoda ów nie urzęduje już. A pamięć po nim trwać będzie przez wieki. Kiedyś, malując naszą epokę i jej ducha, historycy będą wspominać ten pagórek i tego wojewodę. Na nic się nie zdadzą próby wymazania z pamięci jego oryginalnego nazwiska.

Pozostanie ono na trwałe, zapisane na kartach historii. Kto wie, może ów kamień za jedne 25 złotych (z jakich kredytów?) znajdzie się w jakimś muzeum historycznym?

* * *

Cześć zasłudze! My, Polacy, potrzebujemy wyróżnień. Ja bym uważał, że nie ma sensu przyczepiać się do pana ekswojewody o chęć uwiecznienia swego nazwiska.

Jedno mnie tylko razi: mała skala tych poczynań. Bo pagórka przecież wcale na cześć pana Kirtiklisa nie zrobiono. Był już przedtym. A taki szczegół, jak ten kamień, wcale się nie liczy..

Iluż jest u nas starostów, nie mówiąc już o innych dygnitarzach, których zasługi należałoby uczcić w sposób bardziej odpowiedni.

Dlaczego naprzykład u nas drogi nie mają swych nazw? Taka naprzykład droga z Warszawy do Krakowa przebiega chyba przez najmniej 8 powiatów i trzy województwa. Podzielić ją na odcinki i ponazywać. Naprzykład, licząc od Warszawy, w powiecie grójeckim byłaby droga imienia pana starosty Grójeckiego (nie znam imienia i nazwiska...), potym droga imienia pana starosty Radomskiego, potym pana starosty Końskiego i tak dalej, aż do Krakowa.

U granic każdego powiatu byłby odpowiedni napis: koniec drogi (a może wyboi) pana starosty Iksińskiego — początek drogi pana starosty Ypsylonowicza.

Możnaby jeszcze z tymi napisami urządzić inaczej. Na terenie całego województwa droga nazywałaby się „szlak imienia pana wojewody Zetowskiego", a na terenie powiatu „odcinek pana starosty"... Dzieląc tak dalej możemy zrobić pododcinki panów wójtów i sołtysów.

A możeby pamiętać i o ministrze robót publicznych? Naprzykład postawić na nowym placu przed Dworcem Głównym pomnik ministra komunikacji, na początek niewielki, naprzykład wysokości 1 metra. W miarę wzrostu ilości dróg o dobrej, gładkiej nawierzchni postać pana ministra byłaby odpowiednio powiększana.

Wszyscy byśmy się szczerze cieszyli, gdyby wzniosła się ponad szczyty Cedergrena czy Prudantialu. Ale oczywiście, na wypadek pogorszenia dróg, postać pana ministra musielibyśmy zmniejszać... Śmiesznie by wyglądało np., gdyby było pół metra...

Wojewodów dla odmiany możnaby poustawiać gdzieś na placu Teatralnym. 17 postaci rzędem na początek jednakowej wysokości. A potym znów obliczałoby się ilość popełnionych na ich terenie zbrodni, stan samorządu ,oszczędności w administracji, pomoc zimową — i wedle tych wszystkich wskaźników obliczałoby się wysokość pomników.

W dniu zmian tłum (można urządzać wycieczki z prowincji!) z niecierpliwością oczekiwałby opuszczenia zasłony i żywo interesowałby się zmianami:

— O, patrzcie, ten urósł!

— A tamten, jaki malutki! Prawie go nie widać!

Wyobraźcie sobie, że pan wojewoda Kirtiklis dowiedziałby się, że go prawie nie widać! Jakby na drugi rok urósł, nawet gdyby statystyki wyborcze nie były brane pod uwagę przy wyznaczaniu wielkości pomników.

A więc żądamy większej ilości pomników. Więcej pamiątek, więcej czci dla zasługi. Niech nazwiska wojewodów i starostów nie giną w mroku niepamięci, niech naród na wieki zachowa je w swych sercach lub....

Żądamy wniesienia do sejmu projektu ustawy o budowie elastycznych pomników dla zasłużonych!

P. S. Mógłby ktoś mieć wątpliwości, czy w praktyce uda się tak powiększać i zmniejszać postacie na pomnikach. Myślę, że to nie sprawi trudności, bo pomniki mogą być **nadymane.**

Tajemnice „purpurowego" jeziora

otoczonego opieką sowieckich uczonych

Na północnym brzegu Rosji, tuż przy Murmanie, wśród lodowatych fal morza, znajduje się wyspa Kiłdin, a na niej połyskują fale dziwnego rodzaju jeziora. Jeziora. Jezioro zwie się Mogilnoje, czyli Grobowe. Składa się ono z pięciu różnych warstw wody, które istnieją odrębnie i wcale się ze sobą nie mieszają. Pierwsza warstwa głębokości metra, jest utworzona z wody słodkiej, potem idzie trzy do czterech metrów głęboka druga warstwa ze słabą zawartością soli, pod którą leży trzecia utworzona ze słonej wody morskiej. Na głębokości 12 do 13 m. leży warstwa różowo - czerwonej wody, a wreszcie pod nią, na samym dnie, specjalny poziom wody, nasyconej siarkowodorem. Dno jeziora powleczone jest czarnym szlamem, w którym wywiązuje się intensywnie siarkowodór i inne) powinnny uniemożliwić istnienie wszelkich istot żyjących w wodach jeziora.

A tymczasem jezioro jest ożywione, i to ożywione wielką liczbą przedstawicieli świata zwierzęcego i roślinnego wód słodkich i słonych, których samo wyliczenie zajęłoby kilkadziesiąt stron przeciętnej książki naukowej.

Dlaczego te istoty żyją, mimo istnienia gazów? Oto najniższa zabójcza warstwa wody, jest hermetycznie zamknięta przez warstwę na niej leżącą, a wypełnioną purpurowymi bakteriami. Są to bakterie utleniające siarkowodór, zużywają one gaz wznoszący się z najniższej warstwy i nie pozwalają mu przedostać się ku górze.

Mimo głębokich badań rosyjskich uczonych, nie została wyjaśniona całkowicie zagadka tego uwarstwowienia wody, przy którym każda warstwa ma określoną głębokość i temperaturę.

Wyspa Kiłdin wzniosła się prawdopodobnie w ciągu tysięcy lat z dna morza. Obecne jezioro jest pozostałością dawnego zagłębienia w dnie morskim, wypełnionego słoną wodą morską (tak zw. jezioro reliktowe). Zwykle takie jeziora wysychają stopniowo, albo zmieniają się w jeziora o słodkiej wodzie, przy czym zwierzęta i rośliny morskie wymierają.

Tymczasem jezioro Mogilnoje zachowuje się całkiem inaczej. W jego wodach gości jeszcze wielu przedstawicieli fauny morskiej, np. stokfisz, promienice, jeżowce, rozgwiazdy i tp. Wiele z tych zwierząt musiało z biegiem czasu przystosować się do nowych warunków, ponieważ wyższe warstwy wody zaczęły stawać się słodkimi. Wskutek tych zmian, wytworzyły się formy karłowe przedstawicieli fauny pomorskiej o wyblakłym zabarwieniu, które częściowo mogą żyć także i w warstwie słodkiej wody.

Dlaczego jezioro z czasem nie zmieniło się w całkowicie słodkie i dlaczego między poszczególnymi warstwami panuje taka harmonia, niczym niezamącona? Dokładne badania ustaliły, że jezioro posiada także przypływ i odpływ, wysokości kilku centymetrów. Istnieje prawdopodobieństwo, że jezioro ma jakieś niewidoczne połączenie z morzem.

To godne podziwu jezioro zostało zbadane przez rosyjskich uczonych z N. Dieriuginem na czele i od niedawna zostało oddane pod ochronę przyrody w Rosji.

W STANISŁAWOWIE

zaprenumerować „A B C" można u p. Heleny Staszkiewicz ul. Grottgera 6—4

Teczy Korycki

Królestwo za śnieg

Braci narciarskiej ku pocieszeniu

Codziennie rano liczna rzesza narciarzy, czekająca na śnieg niczem żydzi na mannę na pustyni, biegnie do okna, a po tym klnie krótko ale soczyście, prawdziwie po narciarsku.

Bo śniegu znowu niema.

Tylko za oknami widać sunące auta rozpryskujące bojowo błoto na przechodniów, ciemne lepkie

błoto które burzy się i rośnie zupełnie jak fermentujące... drożdże.

NA BOBKOWYM WIERCHU

Gdzieś tam w górach szczęśliwcy już dawno na Bobkowym Wierchu używają sobie dowoli w półtorametrowym puchu śnieżnym. Ci, którym zabrakło czasu (czas to pieniądz) na wyjazd mogą tylko usiąść i pomarzyć.

Pomarzyć o tym, że od jutra zacznie padać piękny suchy śnieg. Pada... pada tak już dwadzieścia cztery godziny.

Pomarzyć, że bierze się już od miesiąca przygotowany rynsztunek narciarski i wyrusza szybko (żeby inny nie ubiegli) „za miasto na wzgórek".

Ze znowu zaroiły się wszystkie góry i górki podwarszawskie. Bielany, Miłosna „Łapigrosz" Płudy i t. d.

Oto wzgórza pokryte białym kropami narciarzy. Zawsze pierwsza, zawsze w pogoni za rekordem, z hałasem możliwie największym jeździ młodzież szkolna, niektórzy zerkają już na barwne kostiumy pań, ale „uczciwy sztubak na nartach" ma w pogardzie takich ,babiarzy".

CIASNY KOSTIUM

Owdzie dama w balzakowskim wieku (lekarz zalecił na schudnięcie) opięła swe nieco za „przelewne" kształty tak ciasnym kostiumem, że chyba cała rodzina pomagała w zapinaniu. Dama z trudem pnie się do góry, z kunsztownego maquillage'u już dawno pozostało na twarzy tylko jakieś lepkie ciasto z potu, różu i pudru. Pozostał tylko wzrok tak samo pożądliwie obejmujący smukłe sylwetki narciarzy, jak wczoraj „gigolaków" na dancingu.

GDZIE SZALEJĄ ŻYDZI

A oto pagórek „szaleją żydzi" krzyki z tamtąd rozchodzą się po całej okolicy, naród wybrany jeśli już zaryzykował puścić się na niebezpieczne wzgórza Miłosny, to chce żeby wszyscy słyszeli o tym wspaniałym krew w żyłach mrożącym czynie.

„Uj patrz pan jak ten Leoś jeździ, nic się nie boi, taki z niego chojrak."

MORYC UWODZICIEL

Obok panna Marlenka i pan Moryś, znany zdobywca serc pięknych Semitek. Pan Moryś tłumaczy właśnie, że lepiej jechać we dwójkę w las.

„Panno Marlenko tam właśnie będzie przyjemno, tam są takie górki, krzaczki powietrze górskie".

Panna Marlenka waha się nieco.

„Ale przecież na śniegu to mokro i zimno — odpowiada.

Więc Moryc przekonywa, rzuca demoniczne spojrzenia, aż wreszcie Marlenka, która nigdy jeszcze na śniegu nie próbowała znika z Morysiem w pobliskim lasku.

MAŁY BEREK JOSELEWICZ

Są i mamy.

„Oh pani jaki ten mój Salomonek odważny on już zjeżdża z dziesięciu metrów i nic się nie boi, taki mały Berek Joselewicz, kochane dziecko".

A „mały Berek Joselewicz" właśnie ryczy jak dziki osioł, bo go jakiś starszy żyd tak popchnął, że aż upadł. Mama zaraz uspakaja „Cicho, cicho synku, nie płacz, jak zjedziesz z tej góry to ci dam piętnaście groszy".

To pomaga natychmiast.

Tak bawią się i szaleją na nartach Nalewki.

PANNA HANECZKA

A oto jest na nartach i panna Haneczka.

Prześlicznie ubrana w barwny kostium i aż mieniący się wszystkimi kolorami tęczy szalik i filuterną czapeczkę.

Panna Haneczka jeździ bardzo mało, przecież można się przewrócić, ba, niedaj Boże, jeszcze rzęsy

się odkleją, lub brew zamaże.

Zresztą panna Haneczka niema czasu, otoczona rojem bawidamków, strzela oczkiem na prawo i lewo i obdarza powłóczystymi spojrzeniami nowe ofiary, zaś resztę czasu zajmuje jej bez reszty, ciągłe przypudrowywanie noska

„Nie mogę dużo jeździć, doktór zabronił — tłumaczy wielbicielom — niestety, serce... a ja tak uwielbiam sport i narty". Tu westchnienie i spojrzenie z serii tych ostatnio wypracowanych przed lustrem, co to mają na mężczyznę działać jak ogień i woda zarazem.

— — — — — — —

Ale rzućmy już tych wszystkich sportowców z nieprawdziwego zdarzenia.

Oto przecież wzgórza, aż roją się od muskularnych sylwetek rasowych narciarzy płci obojga, starych i młodych, z kosztownymi nartami szwedzkimi i z prymitywnymi deskami „własnego przemysłu".

Jeżdżą, kreślą piękne „talemarki", czy zawiłe „kristianie", zdobywają zapas zdrowia, siły i humoru, piją z wielkiej czary „radość życia" i wracają do domu późnym wieczorem zmachani i głodni jak wilki, a przecież każdy z nich już się cieszy, że po sześciu dniach ciężkiej pracy, znowu znajdzie się za miastem, znowu przypnie deski.

Czyż bowiem jest piękniejszy sport... Czyż jest piękniejsza muzyka jak poświst wiatru w uszach i chropowaty zgrzyt nart, krających świeży puszysty śnieg.